

Zielona wyspa? Nie na wieki wieków

Źródło: Gazeta Wyborcza, poniedziałek 12.12.2011r.

Adam Leszczyński: Mamy w Europie kryzys pełną gębą. OECD pisze, że Europa weszła w recesję, noblista Paul Krugman mówi o "Eurogedonie". Chciałem pana zapytać o czarne scenariusze.

Marek Ratajczak: Mam straszyć?

Powiedzieć, co się może wydarzyć. Krugman rzadko się mylił. Przewidział kryzys na rynku kredytów hipotecznych w USA. Dziś twierdzi, że euro jest skończone.

- Według mnie prawdopodobieństwo najgorszego scenariusza to nadal mniej niż 50 proc. Wygląda on tak: najpierw posiadacze obligacji krajów jeszcze niedawno uważanych za bezpieczne stają się nerwowi. Oczekują większej premii za ryzyko.

To już się dzieje.

- Oprocentowanie obligacji może jeszcze rosnąć. Już teraz muszą płacić więcej Austriacy czy Finowie, którzy nie mają takich problemów jak Włosi czy Hiszpanie. To efekt domina. Domino uderza w końcu w najważniejsze kraje strefy euro, np. Francję. Wtedy politycy panikują. Hasłem staje się: "Ratuj się, kto może".

Wychodzą z euro?

- Próbuja, bo to wcale nie jest proste. Podejmują rozpaczliwe decyzje. Zaczyna panować totalny chaos. Giełdy lecą na łeb na szyję. Ludzie rzucają się do banków po pieniądze. Następuje utrata zaufania do pieniądza, ale także poszczególnych uczestników rynku wzajemnie wobec siebie. Coraz trudniej o kredyt, a firmy muszą w konsekwencji ograniczać swoją aktywność. Wtedy mamy prawdziwą powtórkę z Wielkiego Kryzysu z lat 30. w skali trudnej do wyobrażenia.

Co się wtedy dzieje u nas, w środkowej Europie? W przyszłym roku Węgry muszą sprzedać obligacje o wartości 19 proc. PKB. Ich oprocentowanie już rośnie. Węgry bankrutują?

- Wtedy może pan zapomnieć o naszej zielonej wyspie. Im gorzej w strefie euro, tym gorzej dla nas. Z punktu widzenia rynku walutowego jesteśmy w tym samym koszyku co Węgry.

Złoty poleci w dół?

- Już dziś jest blisko 4,50 za euro. Polskie możliwości obrony przed atakami spekulacyjnymi na złotego są ograniczone. Dzielne obroty na rynku walutowym z udziałem złotego to ponad 40 mld dolarów. To ok. 8 proc. polskiego PKB. Tyle przechodzi przez rynki finansowe, głównie w Londynie.

Możemy się temu tylko przyglądać?

- Nasza siła jest pochodną naszego potencjału gospodarczego. A on jest średni. Dlatego powinniśmy wspierać w Unii tych, którzy mówią, że dziś nie czas na myślenie w kategoriach krótkookresowego, wąskiego interesu narodowego.

Powtarzam - ten zły scenariusz nie jest jeszcze najbardziej prawdopodobny. Ale naukowcy powinni takie scenariusze układać, żeby zmobilizować polityków do działania.

Stabo to ich mobilizuje. Było paru takich, którzy przewidzieli kryzys. Np. w 2005 r. znany ekonomista Raghuram Rajan został wytupany na konferencji w Jackson Hole, kiedy przed śmietanką finansistów przedstawił scenariusz kryzysu. Nikt go nie potraktował poważnie, a miał rację.

- Bo wszystko się znakomicie kręciło. Pamięta pan jeszcze sprzed dziesięciu lat pojęcie "nowej ekonomii"? Ameryka miała być pierwszym przykładem. Miały zniknąć cykle koniunkturalne i kryzysy.

Noblista Robert Lucas oświadczył w 2003 r., że "problem zapobiegania kryzysom został rozwiązany".

- Ciekawe, prawda? A można znaleźć sporo takich cytatów. Wtedy wielu ekonomistów myślało, że nie warto już uczyć studentów o cyklu koniunkturalnym, o Wielkim Kryzysie, o Keynesie - bo to człowiek, który po Wielkim Kryzysie chciał zepsuć kapitalizm socjalistycznymi pomysłami.

Euro miało pomóc Europie, a dziś jest kulą u nogi.

- Pomysłodawcom chodziło o to, żeby stworzyć jeden organizm: większy, silniejszy, odporniejszy na wstrząsy. Tworząc strefę euro, częściowo jednak złożono ekonomię na ołtarzu polityki. Robert Mundell, noblista, uważany jest za ojca euro. Gdyby jednak przeczytano, co pisał, okazałoby się, że obejmowanie jedną walutą tak różnych gospodarek to zły pomysł. Gospodarek o różnym poziomie rozwoju, ale też różnych instytucjach. W Grecji można spędzić miesiąc i zwłaszcza w sektorze usług nie dostać paragonu fiskalnego. W Niemczech to raczej nie do pomyślenia.

Może więc wyrzucimy Greków z euro? Niech zbankrutują i wprowadzą drachmę. Wakacje będą tańsze.

- Gdyby chodziło tylko o Grecję, nie byłoby dużego kłopotu. Nowa drachma poleciałaby w dół. Grecy obudziliby się dużo biedniejsi. Towary greckie stałyby się bardziej konkurencyjne, a wakacje tańsze. Część długów by im darowano, a część rozłożono na raty.

Czyste bankructwo małego kraju. W czym więc problem?

- W traktacie z Maastricht nie przewidziano wyjścia z euro. Poza tym tego się nie da zrobić szybko. Nowe banknoty trzeba wydrukować. I po jakim kursie przeliczyć euro na drachmę? A co z kredytami w zagranicznych bankach?

Gdybym był Grekiem, powiedziałbym: "Niech się martwią zagraniczne banki".

- Ale instytucje zagraniczne mogą bardziej dokuczyć Grekom niż odwrotnie. Poza tym nie ma wyjścia z euro - jest wyjście z Unii. To byłaby katastrofa.

Choroba nie dotyczy już kilku krajów albo banków włoskich czy niemieckich. Samo euro jest postrzegane jako pieniądź niebezpieczny. I nawet Niemcy - silna gospodarka - mają problem ze sprzedażą obligacji.

A bankructwo Grecji? Bankructwo kraju to fatalna wiadomość dla jego obywateli. Dług Kowalskiego to dług Kowalskiego. Mogę mu współczuć, ale nie muszę jego długu spłacać. Tymczasem niewypłacalne państwo musi pozbawić obywateli części ich majątku - przez inflację, niewykupywanie na zakładanych warunkach obligacji albo podwyżkę podatków.

Protestujący na ulicach Grecy nie chcą zaakceptować tego, że dług Grecji to nie problem premiera i ministrów, ale przeciętnego Greka, który przez wiele lat nie martwił się, że państwo się zadłuża, bo częściowo finansowało z tego różne przywileje.

Minister Sikorski apelował do Niemiec, żeby uratowały Europę. Jak to mogą zrobić?

- Mogłyby zgodzić się na emisję euroobligacji, za które odpowiadałaby cała strefa euro. Albo żeby Europejski Bank Centralny stał się pożyczkodawcą ostatniej szansy - gwarantował wypłacalność krajów, które mają problemy. Tyle że głównie Niemcy musieliby to żyrować. Tak naprawdę proponuje im się więc to, że ich gospodarka będzie gwarantem wypłacalności również takich krajów jak Grecja.

Niemcy cały czas zadają sobie pytanie: "Jeśli się na to zgodzimy, to jak się zabezpieczyć przed tym, że np. Grecy czy Włosi będą dalej się zadłużać na nasz rachunek?". Pokusa byłaby ogromna. Politycy niemieccy - a wybory się zbliżają - będą musieli wytłumaczyć przeciętnemu panu Schmidtowi, że jego pieniądze będą musiały wspierać także tych, którzy sami powinni przede wszystkim "zakasać rękawy".

Myślę, że Niemcy się stopniowo oswiają z myślą, że będą musieli ponieść pewne koszty. Ale muszą też dostać gwarancje, że nie pomagają komuś, kto za dwa czy trzy lata przyjdzie po jeszcze. I nie dlatego, że musiał, tylko dlatego, że nie chciał się zmienić.

Dla Grecji wejście do strefy euro oznaczało wzrost wiarygodności na rynkach finansowych i obniżenie stóp procentowych. Greckie obligacje zawsze były wyżej oprocentowane niż niemieckie, ale i tak pozyskiwanie pieniędzy było tańsze, niż gdyby nadal mieli drachmę. Takie kraje jak Niemcy wpływały na wiarygodność całej strefy euro i pośrednio żyrowały zobowiązania krajów ekonomicznie słabszych.

Stąd strach Niemców, że euroobligacje będą prowadzić do tego, że dostęp do pieniędzy np. dla Grecji znowu stanie się łatwiejszy, a wraz z tym determinacja we wprowadzaniu reform osłabnie. Stąd to kluczenie i szukanie rozwiązania, które nie okaże się krótkotrwałym łataniem dziury.

Albo Niemiec zapłaci, albo będzie katastrofa?

- Katastrofa! Pośrednio także dla Niemiec, bo głęboki kryzys w Europie będzie także kryzysem dla nich. Muszą więc wybrać najlepszy z samych złych scenariuszy. I przekonać do niego społeczeństwo.

Co prawda mamy jeszcze Europejski Fundusz Stabilizacji Finansowej, ale jego zdolność do pozyskiwania pieniędzy jest ograniczona. Np. od rosnących w siłę Chin nie udało mu się ich pożyczyć.

Zachód niby nadal jest potężny i najbogatszy, ale to się może zmienić. Gdybyśmy w połowie XVI w. zapytali ludzi, jak sobie wyobrażają przyszłość, powiedzieliby: "Na wieki wieków światem będą rządzić Hiszpanie i Portugalczycy". Sto lat później już nie rządzili.

Kryzys sprawia, że mamy miliony ludzi, którzy mogliby wykonywać użyteczne zajęcia, ale z niezrozumiałego dla nich powodu nie pracują. W czasach Wielkiego Kryzysu z tego właśnie powodu powszechnie uważano kapitalizm za skrajnie nieracjonalny system gospodarczy.

- My w Polsce mamy doświadczenie systemu, który miał być lekarstwem na te wady. Okazało się, że był jeszcze gorszy. Oczywiście gospodarka rynkowa nie jest lekarstwem na wszelkie zło. Obok bardzo

wysokiej efektywności prowadzi do niewykorzystania części zasobów, w tym ludzi. Ale do Wielkiego Kryzysu jeszcze nam daleko. W USA było wtedy 25 proc. bezrobotnych. Teraz jest około 9 proc.

Ten kryzys uderzył w wielu ludzi inaczej. Odał ich ze złudzeń co do ich możliwości i perspektyw. Ich wizje - majątku, przyszłości, starości - okazały się iluzją.

W pokoleniu moich rodziców można było liczyć na emeryturę w wysokości 80 proc. ostatniej płacy. W moim wypadku będzie to ok. 50 proc. W wypadku dzisiejszych 30-latków szacuje się, że będzie to ok. 30 proc. Byliśmy przyzwyczajani, że każde kolejne pokolenie żyje trochę lepiej. A teraz, kto wie, sukcesem może być to, że nie będzie gorzej.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, młodym ludziom należałoby powiedzieć: "Będziecie żyć dłużej niż wasi rodzice, ale wasze życie na emeryturze nie musi być życiem zamożniejszym". Tyle że do ludzi młodych w Polsce to za bardzo nie dociera. Ale to się może zmienić i ruch tak zwanych oburzonych i u nas może zacząć się rozwijać.

===

* prof. Marek Ratajczak - ekonomista, profesor zwyczajny i kierownik Katedry Teorii i Historii Ekonomii na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu, profesor w Wyższej Szkole Zarządzania i Bankowości w Krakowie

Rozmawiał Adam Leszczyński

Źródło: Gazeta Wyborcza, poniedziałek 12.12.2011r.